Ner 25. Kraków, 24go Czerwca. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuję nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redakcyi.

Z niniejszym numerem kończy się IIgi kwartał *Niewiasty* na r. 1861 — z początkiem kwartału nowego zapraszamy Szan. Prenumeratorów do dalszego współudziału dla naszego pisma, — obiecując Im w zamian dokładać z naszej strony i nadal wszelkich usiłowań ku podniesieniu jego wartości, a tem samem moralnego pożytku.

Upraszamy zatem o spieszne nadsyłanie przedpłaty na kwartał III i IV, jak komu dogodniej, abyśmy się mogli do liczby Prenumeratorów zastósować w odbijaniu ilości egzemplarzy.

Upraszamy również o jak najspieszniejszy zwrot zaległości za ubiegłe kwartały.

Nowi Prenumeratorowie mogą otrzymać *Niewiastę* od 1go kwietnia r. b., i Ci dostaną rycinę strojów polskich w dodatku. Z pierwszego kwartału b. r. nie mamy obecnie kompletu. Z roku 1860 z IVgo kwartału mogą tylko Ci otrzymać, którzy się wcześniej zgłoszą, ponieważ już niewielką liczbę egzemplarzy posiadamy.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 20 i 22).

Do pierwszych przyjemności na wsi należy ogród — a wchodzi on w zakres niewieściego rządu. Niechaj panienki z dzieciństwa zamiłowania do tego nabiorą zajęcia: niechaj sieją i sadzą kwiatki, a będą miały bukiety swoje i wieńce. Później, jako gospodynie domu będą baczyły o krzewach i trawnikach, i o szczepach w sadzie. Widok swojego ogrodu jakżeż jest miłym! Woń w nim kwiatów cudna, a własny owoc smaczniejszy od innych!

Najskromniejszy dworek nabiera wdzięku i miłą staje się siedzibą, gdy przy nim piękne rozłożą się drzewa; gdy grządki w około różnobarwnem jaśnieją kwieciem. I jakżeż to miło w rodzinnem kółku usiąść w takim ogródku! Panienki z robótką przy wesołej gawędce, albo gdy z kolei jaką dobrą czytają książkę — bardzo przyjemnie czas spędzą.

Nadto mają i podług kwiatów które wyhodowały, naśladować i sztuczne, nauczywszy się tego wraz z innemi robótkami od nauczycielki swojej. Takiemi kwiatami przyozdobią kościół; pokój mamy, i ustroją niemi w dni świąteczne jaką pracowitą i poczciwą dziewuszkę, która z daru tego nieokreślenie szczęśliwą będzie. To są przyjemności wielkie, a także i zajęcie zarazem, zatrudnienie, bez którego nie powinnyśmy zostawać nigdy.

„A nie daj czasowi nigdy darmo upłynąć, widzisz że to szkodliwa utrata, kto czas marnie traci, bo się już ten wrócić nigdy nie może;“ — przekazał nam zacny Rey z Nagłowic.

W mieście liczniejsze są rozrywki i zatrudnienia poniekąd inne. Są w mieście kościoły, są i dawne gmachy, które zwiedzić warto. Są zakłady dobroczynne, które matki córkom swoim wcześnie pokazać powinny. Panienka niechaj do takich dobroczynnych celów także dołoży rączki, bo bielizna którą uszyje dla starców, kalek, lub sierot, stanie się modlitwą w obec Boga i młode serce błogiem napełni uczuciem. Nawet i dziecinna dzieweczka jeszcze z radością zapewne czepeczek dla swojej sierocej rówienniczki uszyje — bo serduszka młode łacno współczuciem dla niedoli uderzą. Można je przytłumić, wyziębić — ale też i łatwo rozbudzić, rozegrzać, użyźnić — a to drugie błogosławieństwo Boże i szczęście bliźnim przynosi.

Miasto ma wieczorne zebrania z tańcami; ma koncerta, teatr i widowiska przeróżne. Wieczorki towarzyskie wpływają niezaprzeczenie na wykształcenie, ale i zwichnąć je mogą, jeżeli są często i nieoględnie zastósowane.

Koncerta mają pierwszeństwo przed teatrem: rozniecą smak do muzyki i wpłyną na rozwój zdolności, a nie rozmarzają szkodliwie. Gdy tymczasem teatr obszerne i obfite rozłoży pole do najlotniejszych i najbujniejszych fantazyj. A niekiedy po takiem rozdramatyzowaniu wyobraźni i serce zbyt zawcześnie przemówi, wszakże bywały już smutne pod tym względem przykłady.

Linoskoki, jeźdźce sztuczni, one orszaki Renza, Carré'go i t. p. bynajmniej nie są widowiskami dla panienek. Raz jeden zresztą niechaj matki zaprowadzą je na przedstawienie podobne, by dla nich *wilkiem żelaznym* nie było, byle tylko dziewczątka dla żadnego *salto-mortale* w *admiracyą* nie wpadały, a takim smakiem tylko matka albo osoba wychowaniem zajęta, pokierować może.

Te wszystkie łamane sztuki i *hece, nie są wcale* dla niewieściego oka; nadto połączone z niebezpieczeństwem życia albo grożące kalectwem, w sercu dziewczątka trwogę wywołać, i nader przykre wrażenie zostawić po-

winny — a tego raczej unikać należy. Jeżeli zaś panienka obojętnie na wszelkie *łami-karki* spogląda.... to wyznajmy, że w jej wychowaniu pod względem uczuć niewieścich niejedno chybionem zostało.

Bliskie sąsiedztwo na wsi wielką jest przyjemnością, i należy się uprawiać je: stosunki przyjacielskie, wzajemnego zaufania, wielkiem są dobrem. Wpływają także wielce i na rozwinięcie się serca dzieci, bo dziecię przylgnie z łatwością do osób, które rodzice z przyjemnością witają, o których mówią życzliwie i z przychylnością. Pokochają rówienników swoich, których rodzice przez lata w dobrej, sąsiedzkiej zażyłości zostawali z ojcem i matką, i to uczucie przyjazne pozostaje się zwykle na całe życie: nieraz później stanie się ulgą, daje pomoc w niedoli i osłodę w cierpieniu.

Gdy piękna nastanie wiosna, jakżeż to miło ze sąsiednią zmówić się rodziną, zaprosić proboszcza, i zejść się w lasku pogranicznym; zabrać z sobą w koszykach podwieczorek, i rozłożyć na zielonej murawie. Zdala już nadchodząc, dawać sobie hasło śpiewkami, lub ochoczem: hop! hop!

Przy podwieczorku wesoła potrwa gawędka. Potem nastąpią śpiewy, deklamacye, gry różne, wykupywanie fantów, i różne świeże pomysły do nowej zrodzą się zabawy.

Gdy zmierzch pocznie zapadać, rozchodzą się uczestnicy tej sielskiej rozrywki. Żegnają się miłem: *do widzenia!* — i znowu brzmią śpiewy rozchodzących się w jednę i w drugą stronę, łączą się jeszcze głosy w oddali — coraz słabiej — coraz dalej wieją — aż nakoniec przewioną wśród pola.

W czasie zimowych wieczorów inne znowu z sąsiadami nastręczają się rozrywki. Dzieci uczą się tańczyć pospołu, i niejeden wieczorek przeskakają wesoło. Inny znowu zajmie muzyka: fortepian, skrzypce, śpiewy. A inny jeszcze czytanie dobrej komedyi lub dramatu: młode pokolenie rozbierze rolę pomiędzy siebie, i każde swoją czyta z kolei. Takie czytanie pod okiem starszych osób, wykształconych, rozwija pojęcie młodziutkich umysłów, kształci smak, nauczy ocenić piękno prawdziwe, wskaże dążność moralną, i nada wprawę w *dobrem czytaniu*, co przecież jest koniecznem i pewną starości zaletą.

Dla rozmaitości możnaby raz przez zimę także i amatorski urządzić *teatrzyk*, należy się wszelako wielka baczność na wybór sztuki i osób.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dokończenie).

XVIII.

Pod Moskwą okropne niepokoje i nieład. Dzielny zwycięzca Szwedów Karol Chodkiewicz nie ma nadziei uratowania upadłej ogromnie sprawy. Wszyscy wodzowie polscy nie chcą słuchać jego rozkazów. Rok prawie cały śród największych trudów walczy z oporem swoich podwładnych, często wbrew swego nakazu walczących ratując od śmierci. Jedną tylko okolicznością wstrzymującą trochę Moskali od ciągłego trapienia Polaków, było ukazanie się niejakiego Fiedora, głoszącego się trzecim Dymitrem; lecz nie wiele z niej można było korzystać, bo Moskale wkrótce się z nim uławiwszy, na nowo zaczęli dręczyć naszych, prędko upadek im zapowiadając. Wreszcie też zaczęły się między wojskiem tworzyć konfederacye mające na celu powrót do Polski. Okropny to cios był dla Chodkiewicza okropny dla Polski! Trzy oddziały spiskowych, których ani namowy, ani prośby, ani zaklęcia hetmana powstrzymać nie mogły, gotowały się do powrotu, a rzec możemy nawiasem, skoro powracały, „ucisk, płacz i narzekanie po całem rozniosły królestwie“. Więc jedni obrali sobie marszałkiem Ciąklińskiego i pociągnęli aż do Lwowa, ścierając się po drodze z włóczęgami; drudzy trzymając się Sapiehy udali się do Brześcia Litewskiego; trzeci nareszcie pod Silnickim opanowali Wielko-Polskę. Trzy te konfederacye dopuszczały się później bardzo wielkich nadużyć w Polsce, a początkiem ich i zawiązkiem była właśnie ta nieszczęsna moskiewska wyprawa. Zwątpiały buntem podwładnych Chodkiewicz, widział już największe niebezpieczeństwo, któremu nie było w jego mocy zapobiedz. Pożarski połączywszy się z Trubeckim, stanął na czele 100,000 zawziętych na Polaków Moskali i położył nareszcie koniec wszystkiemu. Siódmego listopada 1612, Polacy w stolicy zostający poddają zamek i wychodzą. Ze łzami w oczach patrzeć musiał na to niedołęstwo swego rycerstwa hetman, ten hetman który tyloma zwycięztwami stał się postrachem nieprzyjaciela. Okropny był widok gdy wojsko polskie opuszczało stolicę. „Bez odzieży i koni, upadając pod ciężarem poniżenia i rozpaczy, w postaci wygnańców szli na losy niepewne.“ Pastwiący się na swych ofiarach Moskale, okropnych się także dopuszczali morderstw. „Rycerstwo wycięte, Struś i inni przedniejsi wtrąceni do turmy.“ I otóż to koniec okropnej i tak długiej walki, oto wywalczone skutki przelanej krwi tylu tysięcy ofiar! A sprawca tego wszystkiego, a ojciec tych poległych dzieci, a król tego marnującego dziatwę swoję narodu, a Zygmunt cóż porabia teraz?... Oddawna Chodkiewicz przedstawiał mu w listach, często po sobie następujących, najboleśniejszy obraz swojej niedoli, dawno przepowiedział mu ten koniec, do jakiego już teraz przyszło, jeźliby nie nadszedł z prędką pomocą natychmiast. Lecz Zygmunta nic nie wzruszyło — i dopiero gdy ostatnich wypadków wieści, wieści tyrana wzruszyć zdolne, doszły do Warszawy, dopiero wtedy „z królową, dziećmi i licznym dworem wybrał się do Wilna, i tam jeszcze oczekiwał na wojsko, lecz oczekiwał na próżno.“ Nikt nie chciał już dzielić wyprawy z królem, ani Żółkiewski, ani rycerstwo. Dojechawszy do Smoleńska, i zebrawszy ledwie 1200 żołnierza, którzy przecie przez litość podjęli się mu towarzyszyć, wyrusza w głąb Moskwy. Zajeżdża do Wiazmy. Tu dowiaduje się od Chodkiewicza, który właśnie z garstką swoich cofając się do Moskwy, w tem mieście był stanął, iż wszystkie usiłowania są już nadaremne. Zazwyczaj lękliwy, widząc grożące niebezpieczeństwo pozostania dłużej w Moskwie, i tracąc nadzieję, aby się sam dostać mógł na carstwo, wraca Zygmunt natychmiast do Smoleńska, i ztamtąd, porzucając wszelkie pretensye do Moskwy, spieszy do Polski. I koniec świetnych nadziei, koniec krwawej i daremnej walki! Ciężka, oj ciężka wina spada na tego, kto był jej pierwszą przyczyną. Dwóch było sprawców tego całego nieszczęścia, dwie namiętności okropne i bolesne sprowadzające skutki: upór i duma. Upór słabego Zygmunta, a duma — zapamiętałej Maryny.

XXIX.

Pozbywszy się Polaków Moskale, czuli prawdziwą radość z odzyskania wolności. Zawiedzeni na Zygmuncie bojarowie, skoro ich już dawniej Hermogenes z przysięgi Władysławowi uczynionej był rozwiązał, nie mieli

już żadnego skrupułu do oglądania się na Polskę, będąc zupełnie przekonanemi, że Zygmunt powróciwszy do Warszawy już o nich myśleć przestał. Postanowiono więc obrać cara z grona przywiązanych do Moskwy, aby już raz położyć tamę tak długo niszczącym kraj niepokojom i niepewnościom. Obiór nastąpił bardzo prędko i padł na Michała Romanowa, młodzieńca 14 lat liczącego, syna metropolity Fiedora. Dla ubezpieczenia go zaś zupełnego na tronie, postanowiono jeszcze zagładę wszelkich śladów samozwańczych; zwrócono uwagę na Marynę i nieodstępnego jej poplecznika Zaruckiego. Zarucki uniknąwszy ciosów ścigającego go Pożarskiego, schronił się był, jakeśmy wyżej wspomnieli do Kołomny. Ztamtąd Marynę zabrawszy „mieczem i ogniem Rożan i Pereosław pustoszył.“ Nie było miary ni końca jego zawziętości, nic nie zdołało się oprzeć dzikiemu jego mieczowi. Zwiększając coraz bardziej swoje siły dobywał jedno po drugiem miasto, aż wreszcie i Astrachan uległ jego potędze. „Zdobywa go i wojewodę śmiercią karze.“ A gdy jeszcze liczny, i w bój zaprawiony oddział kozaków z Terka przyłączył się do niego, zdawało się znowu szczęściem obdarzonemu zwycięzcy, że teraz nadeszła chwila jego tryumfu! Maryna widziała się już na tronie. Korni poddańcy czołgają się u nóg jej błagając o przebaczenie, i już naprzód upaja się rozkoszą tryumfującej dumy, z wszelką surowością karę winowajcom wymierzając. Ale to był ostatni już blask wkrótce zgasnąć mającej gwiazdki... Moskale chcąc jednym zamachem pozbyć się wichrzyciela, wyprowadzają ogromne siły przeciw niemu. Nie długo trwa walka. Zarucki lubo parę razy jeszcze wymyka się ścigającym i w bezdrożnych pustyniach ukrywa się z Maryną — dognanym zostaje nakoniec — i po długich męczarniach życie swoje pełne trudów i sromu kończy na palu.

Maryna widzi skon swego obrońcy. Ukryta w gęstwinach lasu, śród mrozu i śniegu wyraźnie tylko śmierci już oczekuje. A w takiej chwili pamięć okropnie maluje sercu przeszłość uczuć jego — gasi namiętności, obala wszystko złe, i zgrozą a trwogą przed sprawiedliwością bożą napełnia duszę człowieka. I w takiej też właśnie chwili, grzeszna, zbrodnicza nawet Maryna spomnieć sobie musiała: ojczyznę, dom rodzicielski i lata swoje dziecięce — niewinne. I wtedy mogła zawołać te słowa, które jej kładzie w usta autor Agay-hana, mogła z całą goryczą wyrzutów sumienia zawołać „Polsko! Polsko! gdzie jesteś o! ojczyzno moja!“

I tę były ostatnie słowa Maryny. Zaledwie je wymówiła, tłum ścigających ją po lesie Moskali, dopada do niej, porywa, unosi, i zadusiwszy nieszczęsną — topi pod lodami Wołgi.

I koniec. — I oto tryumf dumy! oto dopięty cel, do którego przez najpiękniejsze lata swego żywota Maryna dążyła — bo Maryna dwa życia przeżyła na tej ziemi. Młodość jej aż do chwili, w której korona carska zabłysła na jej skroni — była cnotliwą, była polską, niewinną — i dla tegośmy ją w początku naszej rozprawki przedstawili w kolorach zacnej i godnej Polki. I niechaj nas nikt o przesadę nie posądza — boć często bardzo zdarza się i z innemi ludźmi tak, jak z Maryną. Wschód ich życia zapowiada najpiękniejszą pogodę — a tymczasem niespodziane chmury nadciągają w południe, i straszna burza i pioruny niweczą wszystkie nadzieje, rankiem życia zapowiadane. Od chwili zaś tej, w której dyadem moskiewski zabłysnął na skroni Maryny, została zupełnie inną. Wśród opowiadania naszego spomnieliśmy już byli o tej metamorfozie jej serca. Dyadem korony carskiej był dla Maryny niezwalczonym wężem pokusy, który ją pchnął w bezdeń samolubstwa i zguby, i utorował drogę do tak haniebnej śmierci, jaką nie zginęłaby nigdy, gdyby nie była porzuciła dawnej cnoty i miłości, które z rodzicielskiego domu wyniosła.

Przebieg dziejowy epoki, w której Mniszchówna żyła, wykazał, choć może niedokładnie, wpływy zgubne jej upadku, i dowiódł z początku przez nas przytoczonego zdania, że prywata wszystkiego złego dla kraju staje się przyczyną. Marnie rozlana krew naszej braci w Moskwie, obciążała zapewne sumienie Maryny w chwili śmierci, kiedy sobie swoją ojczyznę spominała.

Jako matka cierpiała także nie mało, nie wiedząc co się z jej dziecięciem dzieje. Wprawdzie i Niemcewicz podaje, iż Marynę wraz z dwuletnim jej synem utopiono, gdy jednakże porównamy to podanie z ustępem w jego dziejach panowania Zygmunta IIIgo, zacytowanym z dzieła p. Recolles, temu drugiemu zawierzyć musim tem bardziej, że sam Niemcewicz przyznaje jego poszukiwaniom dokładność i pracowitość. W tym ustępie zaś czytamy, iż po śmierci kozaka, któremu młody Dymitr był powierzonym, nie wiedziano o miejscu jego pobytu. Dopiero w r. 1632 „osoba jedna kąpiąca się w łaźni w Samborze, postrzegła również kąpiącego się młodzieńca, osobliwe charaktery mającego wyryte na plecach. Doszła wieść o tem do Jana Mikołaja Daniłowicza podskarbiego w. k. Daniłowicz rozkazał młodzieńca wyszukać i popa ruskiego przywołać; ten spojrzawszy na charaktery, następujące słowa wyczytał: *Iwan syn cara Dymitra.*“ Daniłowicz wziął go potem do siebie, a skoro się król Władysław IV o tem dowiedział, kazał go przywieść do siebie. Bawił na dworze Władysława Iwan Dymitrowicz aż do śmierci króla, a gdy Jan Kazimierz chcący żyć w zgodzie z Moskwą na tron wstąpił, oddalił się do Rewla, potem do Szwecyi. Ztamtąd w skutek nalegań Moskwy udaje się do księcia Holsztein Gottorp. Książę ten wysyła w poselstwie do Moskwy T. Bürgemanna, przydawszy mu za sekretarza Adama Olearnisza. Bürgemann, obficiej szafując pieniędzmi, niżeli mu książę pozwolił, zaciągnął dług na 300,000 talarów. Powróciwszy do domu został za to ścięty, a gdy car dopominał się o zwrot pieniędzy, książę wydał mu za nie *Iwana.* Przywiedziony do Moskwy, po różnych mękach został także ściętym.

Zwracając się nareszcie do Maryny, aby ten i tak za rozwlekły może rapsod zakończyć, uważamy najstósowniej zamknąć rzecz o niej słowami autora Agay-hana, wystósowanemi do Maryny, której ten wielki wieszcz nasz *) najfantastyczniejszy koniec żywota ze swej wyobraźni stworzył — a słowa te zgodne z przekonaniem naszem, niechaj będą katolickiem przebaczeniem win i przestępstw naszej rodaczki. Oto więc kończym niemi: Królowo Polski! daj jej zasiąść u stóp twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie całe długą pielgrzymką, daleko od ojczyzny, wśród obcych i zawistnych, królowo Polski, zlituj się nad córą twoją!

J. K. Turski.

DO MATKI ZIEMI.

O ziemio matko, o ziemio rodzico,
Kiedy otoczysz mnie twych wdzięków kołem,
Kiedy przed okiem wody twe zaświecą
Sędziwe Tatry zabłyszczą nad czołem,

*) Zygmunt Krasiński.

A niwy twoje jak szata królewska,
W mnogie się szaty osnują w przestrzeni,
A nad ten obraz i światła i cieni;
Zsklepi się jasna świątynia niebieska:
Wtedy zda mi się, jam jest król tej ziemi,
Wiślana fala — to mój pancerz srebrny
Tatry iskrzące — korony mojemi,
Niwy zielone — szatami mojemi —
A moim grodem — jest ten gmach podniebny!

Lecz ziemio matko! o ziemio rodzico!
Czemuż tak prędko budzisz ze snu dziecię?...
On kwiat nadłamie — a popioły w kwiecie,
On krzak poderwie — kości pod nim świecą,
Nad fale pójdzie — ślad krwi po nich płynie,
Nogą potrąci — po głuchej ruinie,
Dzwonu posłucha — grzmi modlą pogrzebu,
Tatrów popyta — o przeszłości marzą,
K'niebu śle modłę — nie idzie ku niebu!

O Laokonie! ty z wesołą twarzą,
Ty się uśmiechasz — świat się z ciebie śmieje,
Ty się zielenisz — nad grobami dzieci,
Niemasz nadziei — a wonisz nadzieję,
Niemasz pociechy — a oko twe świeci,
Ruiny sterczą — spowijasz je kwiaty,
Grzmi dzwon pogrzebu — a weselne szaty,
O matko ziemio cóż się w sercu dzieje?!...

Józef Szujski.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Dokończenie).

XIV.

Uczta.

Po owej ostatniej zemście na burmistrzu i jego sprzymierzeńcu, Wit coraz więcej dowiadywał się rzeczy będących dotąd dla niego tajemnicą. Najważniejszą jednakże dlań ze wszystkich było odkrycie w osobie księcia biskupa Fryderyka, owego ukochanego minstrela, a jego przyjaciela od serca, który z swemi tajemniczemi znikaniami ukrywał się aż dotąd przed nim. Więc dowiedział się o wszystkiem, w pałacu biskupa odbyła się ważna konfesya kardynała minstrela, której dziwić się musiał każdy, a wielu przebaczyć i pobłażać. Przyjacielskiem uczuciem ku swemu minstrelowi przejęty nie mógł z razu swej dawnej śmiałości pogodzić z czcią i uszanowaniem, jaka się takiej dostojnej osobie należała. Z kłopotu tego jednakże wybawił go dobry i serdeczny przyjaciel, ośmielając i pocieszając go swym humorem i dowcipem. Powoli, powoli ośmielał się też Wit i zbliżał do swego tak wysoko stojącego przyjaciela. Wreszcie Fryderyk chcąc zupełnie rozgadać i ubawić swego gościa, wiedząc co go najwięcej obchodzi, zapytał go o Zofię: — Cóż, mówił do niego, jakże tam poszło ci z Zofią?

Wit zmarszczył czoło i odrzekł: Źle.

— Jakto?

— Rodzice jej to fałszywi i niegodziwi ludzie.

— Ależ ona?

— Ona jest przywiązaną córką i musi im być posłuszną.

— Lecz sądzisz że ci jest przychylną?

— Przypuszczam, lecz może to tylko moja zarozumiałość, bo gdym jej o moich uczuciach powiadał, dała mi na to najobojętniejszą i to odmowną odpowiedź.

— Sądzisz jednakże, iż zrobiła to tylko z rozkazu rodziców?

— Tem się pocieszam.

— Czekaj, jeszcze nic nie ma straconego. Zaradzimy temu. Po tych słowach ksiądz biskup powstał, zasiadł do biórka i napisał kilka słów pospiesznie; z kartką tą wyszedł i po chwili powrócił wesoły i śmiejący się. Za nim zaś wniesiono sutą zastawę, przyrządzoną na uczczenie Wita. Zaprosił więc książę gospodarz swego gościa, którego nowo kreowanym szlachcicem żartobliwie nazywał, i tu znowu powtórzyła się ona przyjacielska scena, którąśmy w rozdziale jedenastym opisali, więc zdrowia szły jedno po drugiem, to króla jegomości, to szlachty, to Zosieńki, to przyjacielskie, to nareszcie konkluzyjne „kochajmy się.“

— Więc wasza książęca mość, mówił Wit do kardynała, tytułując go tak, bo był biskupem krakowskim więc zarazem księciem siewierskim *), robisz mi jeszcze nadzieję, pocieszasz zbolałe moje serce?

— Ufaj i bądź dobrej myśli. Właśnie przed chwilą zrobiłem ci przysługę, za którą mi będziesz może wdzięczniejszy, aniżeli jesteś wdzięcznym królowi za owe 100 kóp praskich groszy i za dyplom szlachecki.

— Bogu to tylko wiadomo, odrzekł odurzony winem, pociechą kardynała i całym dniem dzisiejszym, snycerz.

— Dzisiaj pójdziesz jeszcze do burmistrza, rzekł kardynał.

— Dzisiaj? Nie mogę.

— Dla czego?

— Dla tego że ostatni raz tam będąc, zostałem szydersko wyśmianym, i poprzysiągłem sobie dłuższy czas lub nawet nigdy tam nie zajrzeć.

— I jakże chcesz posiąść Zofię nie odwiedzając domu jej rodziców?

— To prawda, lecz przynajmniej nie tak prędko tam pójdę.

— Pójdziesz dziś, bo choć sam się na to nie odważysz, zaproszą cię sami.

— Wątpię aby to mogło nastąpić.

— Wątpisz w skutek mej prośby?

— Prośby?

— Prosiłem i wstawiłem się za tobą do burmistrza. Byłem twym swatem drogi Wicie. Zdrowie szczęśliwej swadźby, zawołał uradowany z wynalazku jeszcze jednego zdrowia, i spełniwszy dość spory puhar do dna podał go, do pełna nalawszy Witowi.

Wit skłoniwszy się wypił.

Wizyta trwała jeszcze chwilę, ksiądz kardynał przyrzekł na jutro wizytę minstrela, i uściskawszy się serdecznie, rozstali się ci prawdziwi przyjaciele.

---

*) Zbigniew Oleśnicki będąc biskupem krakowskim, uposażył to biskupstwo, za własne pieniądze kupionem księstwem siewierskiem, odtąd biskupi krakowscy byli książętami siewierskiemi, aż do rozbioru Polski.

Wit powrócił do siebie, upojony szczęściem wypadków dnia dzisiejszego. Wszystko to, co się działo, działo się tak jakoś prędko, niespodzianie. Przed duszą jego naprzemian połyskały to dyplom, to ołtarz, to Norymberga, to biskup, to minstrel, to Zosia nareszcie. A postać tej ostatniej zostawała najdłużej w duszy, jej wyobrażenie było najdroższem sercu artysty.

Dumanie Wita pełne urojonego szczęścia przerwał znowu pan Johan Strengel, ostatnią rolę swej podłości odegrać mający tym razem.

— O! drogi, szanowny panie Wicie, rzekł wchodzący oszust, jakżeż się cieszę, że was zastaję w domu.

Wit powstał z siedzenia i powitał gościa, którego się wcale nie spodziewał.

Przychodzę do was mości panie Wicie w ważnej bardzo sprawie, przychodzę wyświadczyć wam prawdziwie przyjacielską usługę, bo odkryć ludzi obłudnych i nieżyczliwych wam, i zedrzeć maskę z ich pozornie przychylnego dla was oblicza.

— Ciekawym tej sprawy.

— Wracam od Wyrębskich. Są to ludzie niegodziwi i fałszywi, oni was chcą na nowo wciągnąć w swoje sidła, które oddawna przed wami zastawili. Udało się im wprawdzie i mnie raz wciągnąć w tę nieczystą sprawę; Bóg widział jakem się temu opierał, jak tego dziś żałuję; lecz odpokutowałem za grzech mój już dosyć, wy mi go przebaczycie, gdy się doń przyznam sumiennie i żal mój najszczerszy przedłożę wspaniałemu sercu waszemu.

Wit dziwił się tak długiej przemowie, słuchał jednakże cierpliwie dalszych zeznań udobruchanego winowajcy.

— Przypominacie sobie waszmość panie Wicie mój ostatni pobyt w waszym domu?

— Przypominam, byliście u mnie mości Strenglu z propozycyą darowania ołtarza pannie Zofii, który bez mojej wiedzy sam król na rzecz kościoła Panny Maryi odemnie nabył, jako to wam wiadomo z dzisiejszego zgromadzenia na ratuszu.

— Owóż tedy darowizna ona była kłamstwem...

Wit oburzył się gwałtownie, tak, że ze zmiany jego oblicza poznać było można wstrząśnienie uczuć jego.

— Kłamstwem mówicie? Zagadnął zagniewany.

— Była to tylko kompozycya niegodziwego burmistrza, który chciał na was wyłudzić ten ołtarz, sądząc że mu się uda zyskać na nim tę znakomitą sumę, jaką wam dziś najjaśniejszy monarcha przeznaczył za waszą pracę.

— Więc panna Zofia nie zażądała tego ołtarza?

— Bynajmniej, mówił uradowany z tej całej rozmowy zdrajca, z powodów o których zaraz spomniemy; jej się ani nie śniło, ona zupełnie o tym podstępie swego ojca nic nie wie.

— Więc z waszej strony było to wszystko udaniem?

— Z żalem muszę się teraz przyznać do winy.

— Nie byliście więc moim przyjacielem, skoroście mię o tak niecnej zdradzie nie uprzedzili.

— Zaklęto mię słowem honoru. Nikczemny burmistrz obałamucił mię, tak jako ja was przez niewiadomość, iż w rzeczy samej chodziło w tem o jego córkę, o której miłości ku mnie on mię zapewniał.

— Być że to może?

— Lecz dziś za to w nagrodę za moją przewinę ostrzedz was mości Wicie przychodzę.

— Ostrzedz? Czy mi grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Dla was, a szczególniej dla waszego czułego serca jest to niebezpiecznem. Wyrębski zaprosi was dzisiaj do siebie i będzie wam chciał oddać córkę za żonę — która płacze i jęczy w swej komnacie, z powodu surowego swego ojca nakazu oddania wam swej ręki.

— Jestże ten nakaz tak trudnym dla niej do wykonania?

— Nie chciałbym was zasmucać, i gdyby prawdziwa przyjaźń ku wam nie nakazywała mi być dla was szczerym, nie odkryłbym przed wami całej prawdy; lecz poczułem swój obowiązek, i ufając w męztwo i moc waszego ducha odkrywam wszystko. Panna Zofia, to dziwna dziewczyna, ona nikogo nie kochała jeszcze — więc i was szanować, czcić, wielbić nawet potrafi — lecz kochać nigdy. A wiecie dobrze, co w takich razach znaczy wymuszona ofiara serca.

Słowa te były najboleśniejszym ciosem dla Wita. O nich zaś, pomimo iż z ust niecnego oszusta pochodziły, i jego osobistym interesem były natchnione, powiedzieć musim, że zawierały w sobie prawdę. Zofia była taką, jaką ją tu Strengel przedstawił. On jej jednakże nie znał, mścił się tylko takiem jej odmalowaniem na burmistrzu, przy którego odebraniu listu od biskupa był obecnym, który mu wyraźnie okazał oziębłość i gniew w przyjęciu, który wreszcie wyraźnie mu oznajmił, że skoro rzeczy taki obrot wzięły, on nie ma nic przeciwko temu aby Wit ożenił się z Zofią. Jest obywatelem, szlachcicem, będzie znakomitym mistrzem, król go sam forytuje, mówił wesoło i szczerze pan burmistrz, trzeba go szanować; i byle tylko moja córka zechciała, bez namysłu pobłogosławię jej ten związek.

Wszystkie plany i marzenia Strengla runęły od razu jak pyszny zamek na topniejącym wystawiony lodzie; o Zofii nic on nie wiedział, aby jednak i teraz jeszcze zawichrzyć tę tak niekorzystnie dla niego kończącą się sprawę, postanowił użyć ostatnich środków swej bezczelności i poszedł do Wita natychmiast, i oto w znajomy nam sposób plan swego boju rozwijał.

— Ofiary żadnej nie żądam, mówił bolejący mocno na sercu Wit-Stwosz, i dziwnie odczarowanny słowami owego Judasza. Wdzięczny wam jestem przyjacielu, za przestrogę, będę umiał postępować z temi ludźmi.

— Burmistrz wam zawsze nieprzychylny, zmienił chorągiewkę od czasu, gdy poznał, żeście w łasce u króla i księcia biskupa.

— To było do przewidzenia, lecz o niej, o niej zupełnie inaczej sądziłem. Byłożby to więc prawdą, mówił na pół do siebie w rozpaczy, to co mi wtenczas mówiła! Moje domysły i urojenia były więc fałszywe! O Boże!

— Bolejecie, i mnie to mocno boli, wierzajcie, łzy współczucia nad wami cisną się do oczów moich. Bo i cóżby już do waszego szczęścia brakowało, gdyby jeszcze ona was kochała. Wyniesiony przez króla tak wysoko, najświetniejszą przyszłość mający przed sobą, nie posiadalibyście się ze szczęścia. Lecz tak to bywa w świecie, nigdy człowiek nie może być zupełnie szczęśliwym. Zawsze mu czegoś nie dostaje. Oj — i ja nie inną drogą szedłem w tej krwawej pielgrzymce życia!

Tu westchnął, i znalazła się nawet na zawołanie przybiegła, łza w źrenicy jego! Wit ją dojrzał, i ona zwyciężyła go zupełnie. Uwierzył w szczerość słów najobłudniejszego pod słońcem człowieka. I uścisnęli sobie ręce, a piekło rozśmiało się z swego tryumfu. W tej chwili wszedł pachołek z kartką od jegomości pana burmistrza. Wszedłszy oddał ją Witowi i skłoniwszy się pokornie wyszedł.

Wit czytał szybko zaproszenie na wieczerzę, wydawaną jak tam pisano, ku uczczeniu tak wielkiej uroczystości, jaką dziś najłaskawszy król Kazimierz zaszczycił zgromadzenie panów z rady.

„Przybądźcie waszmość panie Wicie, a otwarty przed „wami zawsze dom mój, będzie wam rad z serca.“

Takie było zakończenie zaprosin.

Strengel wił się na swem siedzeniu jak żmija, którą za chwilę jadu pozbawić mają. Rzekł zaś do Wita:

— I pójdziecie?

— Ha! pójdę, choćby dla upokorzenia ich wszystkich, a przedewszystkiem dla pożegnania się z tą, która tak boleśnie zraniła serce moje, pozbawiając go na całe życie spokoju.

— Ale radzę wam po przyjacielsku, przedewszystkiem miejcie się na ostrożności, bo zręczne słówka łatwo bardzo obałamucić mogą, i tem bardziej jeszcze was, którzy jesteście dość łatwowierni, a przytem tak dobrze i idealnie o Zofii uprzedzeni.

— O! słówkami mię nie kupią. Znam ja się na farbowanych lisach.

Strengel zadrżał. Na złodzieju czapka gore. Myślił że te słowa są do niego; myślił nawet, że Wit poznał się i na nim. Więc nie wiele myśląc powstawszy żegnał się z swym przyjacielem.

— A ty nie będziesz na tej uczcie?

— Od dziś dnia gardzę całym ich domem. Proszono mię, alem zaproszenie z pogardą odrzucił. Was nie wstrzymuję, bo wiem co was tam ciągnie, żegnam was. Oby Bóg udzielił wam zadosyć mocy i siły ducha do przeniesienia tego krzyża, na jaki każdy wyższy człowiek jest przeznaczony na ziemi. Bywajcie zdrowi! Męztwa i wiary. Bóg z wami.

— Dziękuję wam serdecznie za przyjaźń, zakończył Wit pożegnanie wysuwającego się Strengla, z którym śród jego ostatnich słów serdecznie się ściskał i całował.

Wkrótce potem Wit wybrał się na ucztę.

Przygotowania na tę ucztę robiono u Wyrębskich suto. List własną ręką księcia biskupa pisany, zrobił tam niesłychane wrażenie. Pan Burmistrz wykrzyknął: Salve! bo widział już honory i zaszczyty i pieniądze, jakie na niego, jako na teścia ulubieńca królewskiego czekały. Pani burmistrzowa w szalenie niezwykłym humorze krzątała się koło wieczerzy. Tylko Zofia, jedna Zofia była jak zwykle na to wszystko obojętną, lubo ją jako uczciwą dziewczynę wielce cieszyła wiadomość o wyniesieniu i nagrodzeniu Wita. Ojciec z nią taką miał wtedy rozmowę:

— Wiesz co dzisiaj było w radzie?

— Wiem, i cieszy mię to mocno.

— Ej ja wiem, że cię cieszy, ale ucieszy cię może jeszcze więcej rzecz jedna, którą odkryję przed tobą.

— Jakaż to rzecz drogi ojcze?

— Dziewczę, ty kochasz Wita.

Zofia spłonęła, nie spodziewała się tego zwrotu.

— Kochasz go? nie prawda? I przebaczysz troskliwemu o twój los ojcu, że wprzódy nie zezwolił Witowi myśleć o połączeniu się z tobą, dopóki nie był pewien jego przyszłości, lecz dziś skoro tak wielką łaskę króla posiada, dziś chętnie zezwalam na wasz związek, i dzisiaj nawet oznajmę mu to w obec ciebie.

Zofia drżała z obawy.

— Ojcze, zawołała nareszcie, drogi ojcze! wy pozwolicie córce swojej być szczerą?

— Zawsze wymagam tego po tobie, moje dziecię.

— To ja wam drogi ojcze powiedzieć muszę, że jesteście w wielkim błędzie pod względem mego serca.

— Jakto!?

— Serce moje jest zupełnie wolnem. Jego Wit-Stwosz nie zajął wcale. Ja tego młodego rzeźbiarza szanuję — ale go nie kocham tą miłością, jakąbym powinna kochać tego, któremubym całe swe życie i szczęście powierzyła.

— Dziecię moje! mówisz rzeczy których się wcale nie spodziewał; a te twoje rozmowy z Witem, te twoje wstawiania się za nim, byłyż więc?...

— Tylko czcią mistrza, ale nigdy miłością. Uważałam ja to drogi ojcze, żeście parę razy zdradzili wasze o mnie podejrzenie, lecz milczałam aż dotąd, bo nie widziałam potrzeby odkrycia wam rzeczywistej prawdy. Teraz wam drogi ojcze, powiem i to, że sam ów młody rzeźbiarz wynurzył mi swoje uczucia.

— I cóżeś mu na to odpowiedziała?

— Odpowiedziałam mu tak samo jak wam, drogi ojcze. I choć widziałam że moją odpowiedzią sprawiłam boleść jego szlachetnemu sercu, nie mogłam zrobić inaczej, jeno tak jak mi sumienie nakazywało.

— Dziwne sprawy! I cóż widzisz w nim tak złego iż go pokochać nie możesz.

— Na to pytanie drogi ojcze, trudna odpowiedź. Tu serce dyktuje prawdę mym słowom. Jam nie winna, jeżeli one rozdrażnić, i nawet zranić mogą drugie.

— Lecz rozważ moja córko, czy nie jest to tylko uprzedzenie jakie, czy nie jestto jaki dziecinny grymas tylko.

— O, nie mój ojcze! o tem zapewnić cię mogę. Tu w duszy mojej wyrobił się od dawna świat, wśród którego wszystkie moje uczucia się rodzą. Co z tym światem prawdziwego nie ma związku, to i mnie jest obcem. Świata zaś tego środkiem i ogniskiem, jest najdroższa nam wszystkim ojczyzna, jest Polska nasza. O jej tylko synach i bohaterach ja marzę... I dla tego przebaczysz mi drogi ojcze, jeżeli ci wyznam, że Wit-Stwosz nie umiał ani jednem słowem zakraść się w ten świat duszy mojej, że dla tego i on jest mi zupełnie obcym. Nie widzę zaś szczęścia po za uczuciami memi. A ty drogi ojcze, pragniesz go dla twej córki.

Wiemy, iż burmistrz kochał prawdziwie Zosienkę, więc na te jej słowa, które może dziwnemi się wydają na owe czasy w ustach tak młodej dziewicy, a o których jednakże, iż rzeczywiście z serca Zosieńki pochodziły, sumiennie zaręczyć możemy, rzekł:

— Sprzeciwiać się tobie nie będę, bo jak sama to widzisz i czujesz, pragnę twojego szczęścia; proszę cię jednakże moje dziecię, abyś dla Wita, który dziś u nas będzie w gościnie była grzeczną i uprzejmą.

— Taką dlań byłam i będę zawsze; bądźcie o to spokojni drogi ojcze.

Na tem skończyła się ważna konferencya ojca z córką, przykre bardzo robiąca wrażenie na pierwszym, bo skutek jej burzył mu wszystkie urocze i wspaniałe plany, o jakich już marzył przed chwilą. Z matką Zofia nie mogła tak szczerze rozmawiać. To też skutkiem podobnej z nią konferencyi były gniewy i krzyki burmistrzowej.

Nadszedł czas uczty. Przyszło kilku rajców, zjawił się także i Wit. Powinszowania i nieszczere życzenia rozpoczęły uroczystość uczty, będąc od razu pierwszą jej potrawą, nie smakującą Witowi.

Prawdziwie jednakże dopiero wtedy zaczęła się uczta, gdy się na niej piękna, lecz blada i z wyrazem smutku na twarzy Zofia ukazała. Wszyscy powstali za jej ukazaniem się w komnacie, a ona uprzejmym ukłonem wszystkich powitała gości. Gdy jednak spostrzegła Wita, zwróciła się umyślnie i rzekła:

— A wam, waszmość panie Wicie, niechże i mnie będzie wolno złożyć życzenia najlepszego szczęścia, i powinszować odebranych dziś słusznie zaszczytów.

— Dzięki wam panno Zofio, odpowiedział wzruszony szczerze.

Państwo burmistrzostwo wtedy zaprosili wszystkich gości z pierwszej komnaty do drugiej, w której na środku wielki stół zastawiony różnemi naczyniami był chara-

kterystycznym wyrazem mającej się obchodzić uroczystości.

IMCIPan Burmistrz wprowadzając do tej komnaty Wita wskazał mu pierwsze zaraz miejsce z kraja; na końcu bowiem siedziała zwykle gospodyni, po prawej ręce jej córka, a zaraz naprzeciw niej Wit-Stwosz. Obok córki zasiadł pan burmistrz, na przeciw niego, więc też koło Wita ksiądz pleban, i tak dalej reszta osób, wedle dystynkcyi i powagi sami siadając, zajmowała miejsc czternaście. Takiej uczty nie pamiętała jejmość pani Wyrębska, chyba że na własnym ślubie; w domu ich nikt dotąd oprócz Strengla i interesantów innych nie bywał, ważna tylko sprawa wywołać zdołała taką uroczystość.

Wnoszono tedy różne potrawy, częstowano, proszono natrętnie nawet gości aby jedli, a gdy już rozmowa wszczęta dobrodusznemi żarcikami księdza Szwarca, zaczęła nabierać życia, powstał gospodarz i przyjętym na takich ucztach obyczajem wniósł zdrowie króla jegomości. Od takiego zdrowia nikt się wymówić nie mógł, nikt się też nawet wymawiać tam nie myślił, bo wszyscy prócz Wita, wiedzieli dobrze jakie wina zapełniają piwnice burmistrza. Więc szła szybko kolej, i prawdę powiedziawszy, większość biesiadników od tej dopiero chwili obchodzić zaczynała uroczystość, na którą ich zaproszono. Rozmowa szła coraz żywiej. Nas ona jednakże, równie jak i wszystkie na on czas używane potrawy nie obchodzi — osoby w niej udział mające stoją na drugim planie naszej sceny, mybyśmy tylko radzi przysłuchać się osobom pierwszego planu — lecz i te nic ważnego by nam nie odkryły. W rozmowę Wita z Zofią, rozmowę ogólną o sztuce, o jej pojmowaniu, o ludziach jej się poświęcających, mięszała się bardzo często niezgrabnemi podjazdami jejmość pani burmistrzowa, i trzeba było wielkiej oględności Wita, i większej czci córki ku swej matce, aby się nieraz nie roześmiać. Tak np. Wit spominając o Norymberdze, wychwalał ją pod względem rzeźbiarstwa i snycerstwa, które to sztuki w onem mieście wysoko były uprawiane, i rzekł w toku rozmowy z Zofią:

— Uważam za święty obowiązek każdego młodego, a kształcącego się rzeźbiarza, odwiedzenie tego miasta, przyjrzenie się jego sztuce i o ile być może pozostanie w niem najdłużej.

— Wielkie zapewne ztąd odnieść może korzyści, mówiła na to Zofia.

— Ale, czo gadasz, ne prawda, to ne pan Vajt, taki miasto, pan lepsi, zostaniesz z nami. Tysz gadal coby jechal, a chciala coby ne jechal nirgends. So, so, herr Vajt (tak go wymawiała) kończyła swój niezgrabny wniosek, kiwając głową na znak potwierdzenia swego zdania Witowi.

Tym razem jednakże wtrącenie się to, tak brzydko mówiącej mamy takiej pięknej jak Zosia Poleczki, choć zmieszało na chwilę rozmawiających, było przyczyną ważnej bardzo kwestyi, którą Wit najbardziej był zajęty. Już ta odezwa pani burmistrzowej przypomniała Witowi nauki Strengla, poznał bowiem iż zwrot ten był dość niezręcznym znakiem dla niego, iżby rada była pani Wyrębska, gdyby on nie jechał do Norymbergi. Ztąd wnosił o przyczynie tego jej życzenia. Rzekł więc do Zofii.

— Niezmiernie się też z tego cieszę, iż najłaskawsza jego królewska miłość ułatwiła mi podróż do Norymbergi.

Pan burmistrz słuchając z uwagą tej rozmowy, westchnął na te słowa, wiedząc już iż Zofia nie będzie zatrzymywała Wita.

— Spodziewam się, odrzekła na to (bez wszelkiej kokieteryi) Zofia, iż ta naukowa podróż, wielce wpłynie na waszą przyszłość panie Wicie.

— Będę się starał jak najwięcej z niej korzystać.

— I kiedyż się udajecie do Norymbergi? zapytała Zofia.

— Wnet po ustawieniu ołtarza w kościele.

— A chciwy coraz większej doskonałości i postępów mistrz, zapewne dłuższy czas w tem tak zachwalonem mieście przez znawców pozostanie. Jak długo waszmość pan myślisz pozostać za granicą naszej ojczyzny.

— Sądzę, iż najmniej trzy lata.

— Będziem wyglądać niecierpliwie nowych jego arcydzieł. Pani Wyrębska szepnęła do ucha Zosi po cichu „glupia". Wyraz ten jednakże doleciał uszów Wita. Rzeźbiarz wzruszył się bardzo tą rozmową. Pan Burmistrz z drugiej strony szepnął swej córce „dziecię ostrożnie". I to Wit usłyszał, i wtedy dopiero pojął to, czego nie mógł, czego nie chciał pewnie dotąd zrozumieć, pojął biedny, że Zofia go nie kocha, że jego odjazd zupełnie jej nie obchodzi, pojął także, iż rodzice zmieniwszy swe z nim postępowanie, chcą gwałtem wymódz na niej poświęcenie i ofiarę dla niego. Ile go to pojęcie, to zrozumienie i to odkrycie kosztowało, każdy zapewnie odgadnie.

— Lecz tęsknota za krajem ojczystym często ciężką bywa chorobą i trudną do wyleczenia, zagadła Zofia.

— Tęsknotę taką leczy Bóg i nadzieja powrotu, odrzekł z mocą Wit, lecz gdy ten spodziewany powrót nic lepszego, nic pomyślniejszego naszemu sercu nie rokuje, wtedy i tęsknota nie jest tak wielką, bo ją zagłusza silniejsze jeszcze uczucie — uczucie z którego i Bóg wyleczyć nie zdoła.

— Oddalonemu czas dłuższy od ojczystej ziemi Polakowi, powrót do ojczyzny zawsze pomyślność i szczęście według mnie rokuje. Ujrzeć kraj, tak sercu naszemu drogi, po długiem oddaleniu, po długiej i bolesnej za nim tęsknocie, toż szczęście, toż radość nie do opisania panie Wicie; nie wątpię, iż wy jej doznacie, kiedy z waszej naukowej powrócicie podróży.

— Ale gdyby w tym kraju, mówił zapalający się Wit, i niezważający już prawie na nikogo, było serce takie, coby równą powitało mię radością, z jaką doń ja powracać będę, coby z równą oczekiwało mię tęsknotą, z jaką cały czas o nim tam pamiętałem, wtedy, wtedy jeszcze była by i sercu radość i duszy pociecha w tym powrocie.

— O wierzajcie, ojczyzny naszej serce, kocha bardzo swe dzieci... gdy wracać będziecie z dala, cały was naród powita radośnie jako mistrza — i cały ten naród tęsknić będzie za swym ulubieńcem, który na polskiej ziemi tyle co wy, czci Bożej, swem arcydziełem przysporzył.

Prawdę powiedziała ojcu Zofia — Wit nie podzielał tych uczuć jakiemi ona przemawiała do niego. Miłość wyrobiła w jego sercu pewien rodzaj sobkostwa (egoizmu), które tak jest wielmożne między innemi uczuciami, iż cały ich blask zaciera, całą ich potęgę osłabia. Inne też myśli i inne uczucia krążyły w duszy rzeźbiarza, jemu cała ta rozmowa wydała się za zimną... a Boże! jestże goretszy przedmiot w naszej mowie, coby był sercu milszym lub droższym?... Rozmowa ta jednakże stanowczy wpływ wywarła na przekonanie Wita o Zofii. Już teraz wiedział z pewnością iż serce jej wcale nie dla niego — przyczyny jednakże tego nieszczęścia pojąć nie mógł. Tę niepojętność każdy także łatwo sobie wytłomaczyć może, wiedząc ile przymiotów serca i duszy, ile darów i łaski Boga posiadał, ile jednak brakowało mu jeszcze do tego aby się mógł pięknej Zofii podo-

bać — i to podobać w tem rozumieniu, iżby go serdecznie pokochała.

Do dalszej ucinkowej, mało znaczącej i obojętnej rozmowy między Witem a Zofią, wmięszali się powoli wszyscy, a nadewszystko żartobliwy ksiądz pleban, który nareszcie opowiadaniem różnych facecyjek, bawił całe towarzystwo aż do końca biesiady.

Wino, którem jeszcze kilka zdrowiów wypito, nie ominąwszy i Wita, a potem ulubiony miodek, dodawały towarzystwu animuszu, tak iż było wesoło i ochoczo w domu państwa Wyrębskich, i oblicze wszystkich jaśniały pogodą i radością — wyjąwszy jednego, na którem daremnie nieraz wymuszony uśmiech, usiłował zatrzeć piętno głębokiej boleści serca. Nikt jednak na nie nie zwracał uwagi prócz Zofii, która umiała dokładnie czytać w niem wszystkie uczucia artysty, nie mając pomimo to lekarstwa na ich uspokojenie.

Biesiada więc szła wesoło, i skończyła się wesoło. Jedno tylko z uczestników jej, serce, o mało nie pękło... ale o tem nikt nie wiedział — tego nikt uczuć nie umiał.

Gdy powstano od stołu, zaczęto się rozdzielać w mniejsze kółka, jedni zabawili się grą, naonczas używaną, w kości, inni rozmową — a Wit-Stwosz, po krótkiej, pożegnalnej na zawsze rozmowie z Zofią, zabierał się do wyjścia. Całe towarzystwo chciało go powstrzymać, pani Wyrębska surowo zalecała Zosi, aby Witowi wyjść nie dozwoliła. Pan burmistrz ile mógł nagadał mu grzeczności i serdeczności, lecz wszystko było napróżno — nikt i nic niezdołało go powstrzymać — pożegnał wszystkich, przyjął jeszcze jeden pożegnalny za swoje zdrowie puhar, i wyszedł — wyszedł raz ostatni spojrzawszy z boleścią na Zofię, którą biedny jeszcze bardziej teraz kochał, aniżeli wcale jej obojętności nie znając.

Wkrótce też i goście się rozeszli, bo gospodarstwo jakoś posmutnieli — a Zosia miała nie mało słuchać od matki napomnień, wymówek i strofowań, że aż ojciec musiał się ująć za nią, i dozwolił jej oddalić się do swojej komnaty.

Modlitwę wieczorną odmówiła Zofia goręcej niż zwykle i ze łzami — i zakończyła ją nowem postanowieniem, które jutro miała swym rodzicom wyjawić. — Wit nie mógł się modlić tego wieczora.

XV.

Odjazd.

Zdarzenia, które w tym ostatnim rozdziale będą zawarte, zakończą nasze opowiadanie, nie będące opisem całego życia Wita, na które nie mogliśmy się nieudolną siłą porywać, lecz jednym tylko ustępem z jego pełnego poezyi-żywota. Wincenty Pol skreślił je całkowicie w znanym powszechnie poemacie pt.: *Wit-Stwosz*, myśmy tu tylko przedstawić chcieli jeden moment w tym poemacie nie ujęty — moment ukończenia ołtarza, dzisiaj świat cały zdumiewającego, i to w celu spomnienia ogólnego charakteru usposobień owoczesnych naszego miasta, tak niewłaściwie przez przytoczonych powyżej panów reprezentowanego. O ileśmy tego dokazali — raczą pobłażający orzec — teraz zdążamy do zamknięcia całości.

Zofia nazajutrz po onej uczcie oświadczyła rodzicom, iż pomimo woli i serca, odda rękę tak silnie kochającemu ją Witowi. Było to z jej strony poświęcenie, o które wczoraj modliła się ze łzami, była to ofiara nie jej niestałości, ale dobrego serca dowodem będąca. — Zofia uczuła całą boleść Wita, i postanowiła ją swem poświęceniem złagodzić. Ma się rozumieć, iż rodzice projekt swej córki przyjęli z największą radością — a w skutek tego burmistrz wybrał się sam do Wita. Zastał go śród pracy, zdziwionego mocno przybyciem tak niespodziewanego gościa. Po przywitaniu taką prowadzili rozmowę.

— Krótko z wami mówić będę zacny młodzieńcze.

— Usiądźcie panie burmistrzu. Wit przysunął krzesło, burmistrz usiadł, naprzeciw niego siadł Wit.

— Wasze szlachetne serce i wasz prawy charakter zjednał wam mój i mej żony nieograniczony szacunek. Gdyście pierwszy raz o rękę córki naszej prosili, odmówiliśmy wam, nie dla tego, iżbyście jej godnymi nie byli — nie, broń Boże. Popełniliśmy to tylko przez niewiadomość i przez nieznajomość waszego serca. Lecz dziś, rozważywszy tę rzecz pilnie, jako rodzice o los swego dziecka dbający, i porozumiawszy się wczoraj, właśnie po waszem odejściu, z Zofią — która wyznała iż serdecznie wasze uczucia podziela, przyjmujemy was całem sercem do swej rodziny, pewno takiej osoby jak wy, wysoko sięgającej, niegodnej, i oświadczamy, że na związek wasz z córką naszą Zofią najchętniej zezwalamy.

Wit słuchał słów tych z oburzeniem. Jemu wtedy przyszły na myśl ostatnie słowa Zofii, a gdy je z deklaracyą jej ojca porównał, wzdrygnął się na sam widok tak daleko posuniętej obłudy i chciwości. Powstawszy więc, rzekł z godnością i wielkiem a bolesnem uczuciem:

— Przebaczcie mości panie burmistrzu, iż zbolałe i upadłe od zwątpienia serce, może niestósowną da wam na wasze słowa odpowiedź. Nie mięszając w tę sprawę wcale panny Zofii, której, poświęcenie jej serca umiejąc cenić, tem bardziej teraz unieszczęśliwić nie chcę, wam tylko to powiem, iż skoroście mnie wtedy, gdym był prostym rzemieślnikiem nie przyjęli, skoroście wtedy przeciwko mnie zdrady nawet knowali — ja teraz waszym słowom wierzyć nie mogę — i nie wierzę — widząc w nich tylko wasz własny interes i marzenia, a nie szczęście i los od Boga powierzonej waszej opiece córki. Nie trudźcie się więc dalszem tłomaczeniem waszego kroku — nie dręczcie przymusem ni groźbą własnego dziecięcia, bo ja wam stanowczo powiadam, iż więcej o pannie Zofii nie myślę, i z jej poświęcenia nikczemnie korzystać nie będę.

Burmistrz, który wśród odpowiedzi jeszcze był powstał z siedzenia, rozpalił się namiętnym gniewem do czerwoności, i zwiesiwszy swoją ochwierutaną głowę na bok, gotował się do ostrej repliki na tę niespodziewaną wcale obelgę.

— Mości Wicie, rzekł też podniesionym głosem, zapominacie widzę z kim mówicie... Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale spomnienie o królu i księciu biskupie zamknęło mu usta; zaciął więc wargi, łysnął namiętnie i przeraźliwie oczami, i zmieniwszy zupełnie ton mowy, dodał — tu jest jakieś nieporozumienie, możeby się dało rzecz tę wyjaśnić, coś przebaczyć, coś puścić w niepamięć.

— Niema tu żadnego nieporozumienia, odpowiedział na to Wit-Stwosz, wszystko jest jasne jak słońce — nic nie potrzeba wyjaśniać, nic nie można przebaczyć, lecz wszystko można i trzeba puścić w niepamięć, i o wszystkiem, a wszystkiem zapomnieć.

— Tak więc, zacny mój Wicie! zapomnieć, zapomnieć! zawołał, fałszywie słowa Wita tłomaczący burmistrz, a oczy zaiskrzyły się mu taką radością, jakby już siedział na stołku senatorskim. O! podajcie mi więc dłoń przebaczenia!

Widok takiego człowieka oburza. Uczciwy patrzeć nań nie może. Wit też odwrócił twarz swoję od

niego, i ze wzgardą przymknął nawet oczy, aby tak nikczemnego stworzenia nie ujrzeć.

— No! niepamiętajmy o tem co się stało, wołał jeszcze pan Wyrębski wyciągając obie ręce do Wita.

— Ależ ja nie tak rozumiem to zapomnienie. Abyś mię więc waszmość pan zrozumiał, powtarzam raz ostatni, iż o wszystkiem a wszystkiem już zapomniałem. Zapomniałem czym znał, czym widział kiedy pannę Zofię, zapomniałem czym był kiedy w waszmościnym domu, zapomniałem czym z nim kiedy rozmawiał.

— To niewdzięcznie mości Wicie, rzekł do wściekłości doprowadzony burmistrz.

— Proszę mi tę niewdzięczność przebaczyć, tak jako ja waszmości wszystek mój niepokój i wszystkę moją boleść przebaczam.

— Lecz Bóg tego waszmości nie przebaczy.

— Będę się doń modlił gorąco, a on szczerej modlitwy wysłucha.

— Więc polecam was jego opiece, mówił odchodzący pan Wyrębski, uspokojony jakąś myślą, (podobno zamierzył iść do księcia biskupa) i pocieszony nadzieją. Wit odprowadził go do drzwi i pożegnał. Ile cierpiał, trudno opisać, powiemy tylko, iż zmęczony nad siły wizytą tego natręta, padł prawie omdlały na łóżko i tak na pół przytomny z godzinę przeleżał.

Wieści, z któremi burmistrz do domu powrócił, zrobiły tam wielkie wrażenie. Pani Wyrębska gniewała się na męża i wyrzucała mu dawną nieoględność; burmistrz zgoniwszy wszystko na Strengla, przeklinał tę pokusę wraz z żoną. Zofia tylko dowiedziawszy się o wszystkiem, i udawszy się do swej komnaty mówiła spokojnie do siebie: Tym czynem on mnie wcale nie upokorzył; przekonał mię, że jest szlachetnym, wielka to dusza! Ach Boże! Czemuż ja go kochać nie mogę.

Z odrętwienia prawie zbudził Wita przybyły doń według przyrzeczenia minstrel. Wit dźwignął się, dobył resztki sił i chciał oddawać należne czołobitności swemu gościowi. Minstrel powstrzymał go od wszystkiego.

— Mów tylko co się stało z Zofią, zapytał się cierpiącego przyjaciela. Wit w krótkości opowiedział, aż do chwili w której się obecnie znajdował.

— Więc w sprawie serca, nic nie pomoże protekcya. Lecz Wicie, teraz ci podam jednę radę skuteczną.

— Usłucham jej.

— Ustaw ołtarz w kościele jak najprędzej i jedź natychmiast do Norymbergi.

— Zrobię, jak wasza książęca mość...

— Przepraszam, jestem tu tylko minstrelem.

Wit się zażenował, lecz skończył: — Zrobię to — pojadę.

Rozmowa dalsza była krótka. Wit był słabym,i z rozkazu Fryderyka, który go wnet pożegnał, udał się na spoczynek. Rady księcia biskupa usłuchał najwierniej. W kilka dni po opisanych tu dopiero zdarzeniach, odbyła się w kościele Panny Maryi wielka uroczystość odsłonięcia wielkiego ołtarza. Opisywać jej tu nie będziem, lecz szanowne czytelniczki odsyłamy do pięknego jej opisu w *Wicie-Stwoszu*. W parę dni potem Wit zaopatrzony w pieniądze skarbowe jechał do Norymbergi... Dalszy jego żywot do naszego ustępu nie należy, znajomym jest zresztą z parę razy przytoczonego tutaj poematu Pola.

O Zofii należałoby się tylko powiedzieć choć słówko. Przyszedł i na nią czas tego świętego uczucia, którego gieniusz Wita nie mógł w niej obudzić — pokochała młodego bohatera... i mimo długiego oporu rodziców złączyła się z nim przed ołtarzem na zawsze.

Strengel stracił wiarę w szczęście swoich spekulacyj handlarskich, zawiedziony na ołtarzu i na małżeństwie z Zofią, która jak się każdy domyśli, ani słuchać nie chciała jego oświadczyn. Śmieszne to były te oświadczyny! Zofia śmiała się tak serdecznie, iż ojciec jej, który ma się rozumieć, ze Strenglem po wszystkich wypadkach się pogodził, sądził, że to są spazma. Pokazało się jednak, że to nie były żadne spazma, ale najprostsza w świecie pogarda brudnej duszy spekulanta i oszusta.

Pani burmistrzowa kiwając z gniewu na wszystko głową, wyrzucała coraz częściej swemu małżonkowi:

— Ach szo to za kraj... szo to za lude — po szo, po szo przyniosleś me ty tu!

I na tem kończy się nasze opowiadanie.

⊙

CZŁOWIEK ZGUBIONY,

czyli

Redaktor,

czyli

STRASZNA STAGNACYA INTERESÓW,

albo

Stan Literatury,

czyli

Deserta Arabia.

Wielka tragedya z odsłonami i bez odsłon.

Rzecz dzieje się w kraju bez granic.

—

Osoby:

REDAKTOR „BIAŁOGŁOWY“,
GWIAZDKA, KWADRAT, współpracownicy.
MADAME HEBÉTÉ.
PROFESSOR MATEMATYKI.

Akt I.

Odsłona pierwsza.

Scena I.

(Salon obszerny, w każdym rogu stół nakryty papierami, na posadzce stosy papierów i książek — drzwi na lewo. Po ścianach wiszą portrety, fotografie i sztychy samych białogłów. Redaktor siedzi przy stoliku ręce trzymając podparte na stole, — od czasu do czasu wyrywa sobie kilka włosów).

Redaktor.

Co tu robić dla Boga, wspierajcie mnie duchy,
Wstępny artykuł jest już, ale strasznie suchy,
Jest w nim morał, sens, a nawet nauka,
Ale Publiczność jeszcze co innego szuka.
Poezyj mam do djabła — pieśni i sonety,
Legendy i krakowiaki, dość tego niestety!
Jest i powieść, rozprawa, są także i szkice,
Lecz w dzisiejszych stosunkach są to wszystko nice,
Publiczność łaknie coraz innej strawy,
Wczoraj pragnęła wrażeń, dziś pragnie zabawy;
Wczoraj chciała słówek złocistych anioła,
Dziś znowu z energią o żelazne woła.
Zkądżeż ja tego wszystkiego wytrzasnę?
Nie, niech się skończy, niechaj już raz zasnę!
Nie warto już żyć dłużej na tym wielkim świecie,
Gdzie człowiek co swe siły poświęca kobiecie,
Codzień takie okropne przechodzi tortury, —
Wolę skończyć i wstąpić w grób dziki, ponury.

(Porywa z rezygnacyą pióro stalowe, chcąc się przeszyć, wtem wpadają Kwadrat z jednej, Gwiazdka z drugiej strony i chwytają go za ręce)

Gwiazdka i Kwadrat *(razem)*.

Stój, wstrzymaj się na chwilę drogi redaktorze!

Redaktor *(odejmując pióro od piersi, mówi z wysileniem)*.

Gdzie jestem?.... kto tu mówił.... czym ja śnił mój Boże?

Kwadrat.

Uspokój się drogi panie, to straszliwa wizya!

Redaktor *(ocknąwszy się z wściekłością)*.

Co? znów jaka rewizya?
Więc jeszcze niedość tej ciągłej szykany,
I pocóż mam dalej pędzić żywot tak znękany?!

Gwiazdka.

Redaktorze, — twoje życie już odtąd światu się należy,
W ciebie tysiące kobiet, jak w ideał wierzy;
Ty trzymasz w ręku twoim...

Redaktor.

Ja nic nie trzymam, mnie za łeb trzymają,
Mnie od rana do nocy spokoju nie dają,

Kwadrat.

Lecz przyszłość... i cel tak pięknie wytknięty.

Redaktor.

Kwadracie! wstrzymałeś żelazo, — obyś był przeklęty!

(Porywa znów za pióro, lecz Kwadrat klęka z jednej, Gwiazdka z drugiej strony i śpiewają razem na nutę: Złoto, złoto jest chimerą).

Śpiew:

„Redaktorze pomyśl tylko,
Że życie anielską chwilką,
W której wszystko w szybkim pędzie
Jak nić z złotem wciąż się przędzie."

(Zasłona spada, słychać jeszcze pół godziny śpiew za sceną).

Akt II.

Scena I.

(W biórze Redakcyi współpracownicy siedzą i piszą).

Scena II.

(To co napisali piaskiem zasypują).

Scena III.

(Znów piszą).

Scena IV.

(Znów zasypują).

Scena V.

(Ten sam pokój co w akcie 1szym, Redaktor siedzi z fajką w ustach, Kwadrat czyta coś głośno, Gwiazdka notuje).

Kwadrat.

Są znowu jakieś reklamy,
Że w gazetach zawsze plamy,
Tu zaś — że złe adressa,
Bo Amalia nie Teressa,
Nie Wielmożna, ale Jaśnie...

Redaktor.

A niech tam już piorun....

Kwadrat *(przeglądając gazety).*

Poeta Smaruj przyniósł artykuł.

Redaktor.

Cóż za boleść znowu wykuł?

Kwadrat.

Legendę: „Nurty Rudawy czyli Czarna Broda,
Na tle ludowem osnuta przygoda".

Redaktor.

Czytaj pan.

Kwadrat.

Czy i wstęp? — wstępu 3 arkusze.

Redaktor.

Nie — legendę samą.

Kwadrat *(czyta).*

„Już słońce blaskiem swoim góry oświeciło
Karpat, co zdala wskazują grzbiet siny,
Już słońce swe promienie wokół rozszerzyło
I ozłociło krzewy, fiołki, kaliny.
A wtem słychać coś zdala jakby tentent koni,
To zapewne myśliwy za zwierzyną goni,
Lub może bydełko, kozy i buhaje
Pędzą ponad skały, brzegi i ruczaje.
O nie! to rycerz z spuszczoną przyłbicą,
Któremu tylko oczy jak dyamenty świecą,
To sławny rycerz, Stanisław ma miano,
Pędzi w strony gdzie kochał, i gdzie go ko-
(chano."

Redaktor.

Dość już dość dla Boga... co więcej?

Kwadrat *(czyta).*

Krytyka naszego pisma — ostra i surowa
Że treść w ogóle sucha i jałowa,
Że dziennik nasz niedość ma barwy,
Że niezbyt otwarty i używa larwy,
Że tendencya niejasna i trochę tchórzliwa,
Że brak humorystyki....

Redaktor *(pochylając głowę).*

Biednaś ty białogłowo, biedna, nieszczęśliwa!

(Drzwi otwierają się z trzaskiem, wchodzi Madame Hebété).

Akt III.

Scena VI.

(Wszyscy w milczeniu powstają, Redaktor prosi siedzieć, Madame siada na stosie poskładanych gazet, lecz chcąc się usadowić spada z łoskotem, redaktor chcąc ją ratować przewraca kałamarz, z którego atrament wylewa się na jasną suknię pani Hebété.

P. Hebété *(zapalczywie).*

Tożto jest właśnie krew którą macie,
Tej nie żałujecie, i tą wylewacie,
Czarna — ohydna, bo żółć jest jej zdrojem,
Nią chcecie zdobywać i walczyć przebojem.
Byłam już raz u pana — chciałam dać nekrolog
Hrabiego Jana, mego dobroczyńcy — był to
(archeolog.
Odrzuciłeś, mówiąc że nekrologi
Nie do waszego pisma, nie na wasze nogi,
O wiem ja wiem, za zbyt niskie progi.
Jam kobieta, Białogłowę pismo wesprzeć
(chciałam,
A w tym nekrologu duszę mą wylałam,
Cześć, wdzięczność, wszystkie piękne cnoty,
Które się należały dla takiej istoty
Jaką był Jan hrabia, pan mój, archeolog...
Przysyłałam wam potem tęskniącą sielankę,
Tę uczuć moich na wsi rozkwitłą równiankę,
Nie wydrukowaliście jej — potem dałam odę
Wielbiącą niw naszych i gór blask, urodę,
Niceście nie drukowali — a jam jest niewiasta,
Dziś więc mówię: koniec z wami, basta!
Abonentów odmówię przynajmniej czterysta,
Gdy wytłómaczę, że nikt nie skorzysta
Trzymając wasze pismo; każdy się odsunie,
A wy grać potem będziecie na baraniej strunie.
Idę ztąd, odchodzę, na pohibel krzyczę,
Na pohibel wam wszystkim, tak, tego wam
(życzę.

(Dostaje spazmów, pada zemdlona — Kwadrat i Gwiazdka robią łoże z numerów Białogłowy i na nim ją wynoszą).

Redaktor *(po chwili).*

Ta kobieta moja zguba, hejże bracia w piórze!
Przetrwałem już niejedną w życiu mojem bu-
(rzę,
Ale ta mnie złamała do nitki, do szczętu,
Jestem teraz jak maszt złamany wielkiego
(okrętu!

(Słychać jak serce bije Redaktorowi).

Scena VII.

(Drzwi się powoli na tempa otwierają i na tempa zamykają, wchodzi jakiś jegomość stary z krótko podstrzyżoną głową, sztywny, do góry zapięty, laskę z gałką trzymający w ręku).

Jegomość.

Tu redakcya Białogłowy?

Redaktor *(odwracając się).*

Tak. *(n. s.)* Znów jakiś gość nowy.

Jegomość *(przybliżając się).*

Professor jestem — i to matematyk,
Więc umiem rozróżnić co cyrkiel, co patyk,
Więc wiem, że kobieta choć lekkie stwo-
(rzenie,
Powinna mieć wszystkiego ścisłe rozróżnienie,
Umieć sumienia i grosza zrobić obrachunek,
Archimedesa w głowie nosić wizerunek.
Dla tego zdaje mi się, nie jestem natrętny...

Redaktor *(prosząc siedzieć).*

Owszem, niech pan professor siada...

Profesor.

A co? i trochę o rzeczy pogada?
Otóż, czyby to dobrze, skutecznie nie było,
Gdyby się trochę rachować uczyło
Niby kobiety, — wszak to jest fundament,
Na którym się dopiero życia wysnuwa par-
(gament.
Bo żona, co rachować niechce czy nieumie,
Przy najwznioślejszym sercu, najmędrszym
(rozumie,
Nie da obiadu dzieciom, nie da go mężowi,
Historya zaś uczy — że głodni na wszystko
A co? (gotowi.

Redaktor.

Dobrze, jednak...

Profesor.

Niema tutaj jednak — wierz mi redaktorze,
Że matematyka pismu najwięcej pomoże.
(wyjmując papiery).
Oto tutaj: Pierwsze zasady elementarne,
Są bardzo treściwe, arcy-popularne,
Te zasady pociągnę ze cztery kwartały,
A tak: **i owca będzie syta i wilk będzie cały.**
(powstając).
Żegnam, a proszę przysłać mi korrektę.
(wychodzi).

Scena VIII.

Redaktor *(sam).*

Korrektę? zrób ty z siebie korrektę ko-
(chany pedancie!

(zasłona spada).

Akt V.

Scena XXII i ostatnia.

(Redaktor stoi z załamanemi rękami, obok niego Kwadrat i Gwiazdka).

Kwadrat.

Pani Hebété z wielkiej irrytacyi umarła.

Redaktor *(krzyknąwszy).*

Umarła?!

Gwiazdka.

Przed śmiercią głośno krzycząc, iżby nas
(pożarła.

Redaktor.

Pożarła!?

Kwadrat.

Prenumeratorów ubyło ze trzysta,
A co minuta prawie zmniejsza się ich lista.

Redaktor.

Więc cóż robić?

Kwadrat i Gwiazdka *(razem).*

Pisać dalej.

Redaktor.

A jak nikt czytać nie będzie?

Gwiazdka.

Będzie, będzie — lubiących czytać jest dziś
(pełno wszędzie.
Któżby wreszcie, chociażby li z prostej grze-
(szności,
Dał upaść białogłowie, i połamać kości?!
Nie, nie, redaktorze, daję na to słowo, że...

(Zasłona spada).

Epilog.

„Wszystko się tu dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie."

KONIEC.

Edward L.....

Korespondencya od Redakcyi.

P. T. T. K . . . w Czerniowcach. O wiośnie już wielu śpiewało. Trzeba wiele talentu, aby od nich coś piękniejszego zaśpiewać. Panu się nie powiodło, choć pan mówisz z serca: „O wiośnie hymny bym piał!" Może w zbiorze pańskich erotycznych poezyj są inne. Listy upraszamy opłacać.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**